

Na premierze w łódzkim teatrze

Dnia 3 września odbyła się w Państwowym Teatrze Nowym w Łodzi premiera sztuki węgierskiej pisarki Ewy Mandi, pt. „Bohaterowie dnia powszedniego”. Teatr ten stał się w Polsce głośny od czasu odznaczenia go orderem „Sztandaru Pracy” za wystawienie czeskiej sztuki V. Kani: „Brygada szlifiera Karhana”. I jest to teatr naprawdę nowy, nie tylko dlatego, że skład jego stanowi młodzież aktorska, ale przede wszystkim dlatego, że służy klasie robotniczej. W bieżącym roku np. postanowił wystawiać tylko takie sztuki, które by wspomagały masom pracującym w ich walce o Plan Sześciolatek i które by zbliżyły je do wszystkich zagadnień związanych z budową socjalizmu. Temu mogą służyć przede wszystkim sztuki o problematyce robotniczej. Oprócz „Brygady szlifiera Karhana”, poruszającej temat współzawodnictwa pracy teatr grał już „Makara Dubrawę” Al. Korniejczuka, oraz trzecią, wymienioną na wstępie sztukę „Bohaterowie dnia powszedniego”.

Młoda dwudziestokilkuletnia autorka sztukę znacznie wyprzedziła wielu pisarzy polskich, którzy po dziś dzień nie potrafili opanować tematów odpowiadających wymaganiom stawia-

nym współczesnej literaturze. Już bowiem pierwszy jej utwór „Siew” poruszał problem nowej wsi węgierskiej z jej zaostrzającą się walką klasową, dźwiganie się z ciemnoty i zacofania. Sztuka ta według opinii krytyki posiada jednak wiele błędów ideologicznych m. in. zarzuca się jej zbyt idealistyczne potraktowanie tematu. „Bohaterowie dnia powszedniego” są już utworem trafnym zarówno pod względem politycznym, jak artystycznym.

Treścią sztuki jest zagadnienie zwiększenia wydajności pieca hutniczego. Młody robotnik, który awansował na dyrektora huty, pracuje nad zagadnieniem czy piec przetapiający 30 ton rudy, potrafi przetopić 35. Naczelny inżynier, dobry fachowiec, lecz człowiek starej daty nie zgadza się z tym pomysłem i powołując się nieustannie na swój autorytet fachowca przeciwstawia się stanowczo dyrektorowi. Dyrektor przekonany o słuszności swego pomysłu nie jest w tej walce osamotniony. Popiera go Podstawowa Organizacja Partyjna, skłaniają się do jego idei robotnicy, a jednak walka jest ciężka. Inżynier bowiem ma również swoich zwolenników: kierownika odlewni Kretesza i byłego sierżanta wojsk Horty'ego.

W akcję wplecione są także aktualne sprawy dotyczące władzy ludowej na Węgrzech, jak np. sprawa nowych kadr, sprawa kierowników produkcji, lub wyciągania ludzi na kierownicze stanowiska. Autorka wykazała duże wyczucie wymogów sceny, potrafiła zgrabnie pozawiazywać sytuacje, poustawić postacie w konkretnej akcji, bardzo zresztą żywej i ciekawej, a przede wszystkim co najważniejsze potrafiła zachować umiar w kompozycji dzieła wolnego od papierowej deklaratywności i sztampowej sensacji.

Podczas drugiej pauzy obecni na premierze literaci i dziennikarze dawali wyraz obawom, czy naczelny inżynier popełni jakiś czyn karygodny (coś w rodzaju wysadzenia pieca w powietrze czy czegoś podobnego), jak to się zwykle dzieje w sztukach naszych pisarzy, podejmujących współczesny temat. W sztuce Ewy Mandi nie ma niczego podobnego. I to jest właśnie prawdziwe i typowe, albowiem walka klasowa, ta codzienna walka toczona na różnych odcinkach pracy nie ma w sobie nic z sensacyjności. Naczelny inżynier w sztuce Ewy Mandi jest zdecydowanym wrogiem klasowym, ale jako człowiek inteligentny nie popełnia żadnego czynu, który by go kwalifikował za krakki. Jest na to zbyt ostrożny. On opiera się o swoją wiedzę, na podstawie której może w ka-

kiej chwili wobec innych fachowców udowodnić swą słuszność. Jest on nawet pełen troski o życie hutników, gdy twierdzi, że eksperyment może doprowadzić do rozsadzenia pieca i do śmiertelnego wypadku.

Gdzie leży jego wrogość? Oto za wszelką cenę nie chce dopuścić do wzmocnienia wydajności pieca, a tym samym opóźnia rozwój państwa ludowego. Toteż w trzecim akcie nie stało się nic nieprzewidzianego. Kiedy hutnicy pobiegli do pieca obserwować wynik eksperymentu i scena opustoszała, on wchodzi, staje, patrzy za nimi. Ani jednego gestu okazującego niezadowolenie, czy nienawiść. Nic. Ale właśnie jego powściągliwość powiedziała wszystko. Bez reszty. I aktor Adam Daniewicz grający tę rolę był w tym momencie świetny. Zresztą wszyscy aktorzy budowali swoje postacie, powiedziałbym na wzorach radzieckich i na szkole Jaracza. A więc żadnej przesady, żadnych zbędnych gierek. Byli to po prostu żywi ludzie tacy, jakich wielu widzimy dookoła siebie.

Sztukę reżyserował Janusz Warmiński przy współpracy całego zespołu. Dekoracje wykonał Józef Rachwalski.

Na premierę zostali zaproszeni przez teatr hutnicy śląscy, 80-osobowa wycieczka przodowników pracy i racjonalizatorów brała udział w dyskusji po przedstawieniu. — „Nareszcie zobaczyliśmy w teatrze nasze

życie” — mówi jeden z dyskutantów. — „To jest tak jak u nas na hucie” — szeptał mi do ucha przodownik pracy Filipczyk, który mimo zachęty z mojej strony, nie miał odwagi powiedzieć tego głośno.

Zacięta dyskusja toczyła się wokół postaci naczelnego inżyniera, sierżanta Szabo i kierownika odlewni. Na końcu sztuki bowiem sekretarz partii i dyrektor powiadają, że zarówno naczelny inżynier, jak Szabo, „będą wylami”. W dyskusji były sprzeciw przeciw takiemu rozwiązaniu sprawy. Jedni twierdzili, że starą inteligencję trzeba zdobyć dla sprawy socjalizmu i wykorzystać jej wykształcenie fachowe, inni że zakończenie sztuki było właściwe i trafne. Większość dyskutantów nie zgodziła się jednak z usunięciem z fabryki byłego sierżanta Szabo, albowiem jak twierdzono, pochodzi on z klasy robotniczej i zamiast wypędzać, należało raczej otoczyć go większą opieką i przekonać o swojej słuszności. W dyskusji padła również uwaga techniczna, poza tym całe przedstawienie było pod tym względem bez zarzutu. Dekoracja pierwszego i trzeciego aktu przedstawiająca wnętrze huty wywołała ze strony publiczności długie oklaski. Hutnicy, goście premierowi wyrazili życzenie, aby teatr przyjechał na gościnne występy na Śląsk i do Zagłębia. Drugim ich życzeniem było, aby teatr katowicki wystawił tę sztukę.

„DZIENNIK LITERACKI” nr 38 z dn. 17.09.1950 r. Prem. 3 IX 1950 r.